

## UŁAMEK

### Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

---

#### WSTĘP.

Spuszczając się myślą po złotej nici wspomnień, co się to jasno wije przez młodości lata, przez wiek dzieciństwa, i dopiero w niepamięci pierwszego brzasku żywota znika, w nic się rozwiewa; spuszczając się po tej nitce w minione lata, przerzucam z namysłem wszystkie pamiątki, jak stronnice książki zbutwiałej, i nie wiem, ażali to zmartwychwstanie ducha z przeszłości nie więcej obudza smutku, niż wesela; nie więcej radości ztąd, że się już tyle przykrój uszło drogi, niż żalu za ową przeszłością, co zawsze świetną błyszczała nadzieją, a rzeczywistego szczęścia nie dosięgła nigdy!

Na każdej stronnicy widzę zawód, pamiątkę jakiejś śmierci, ślad jakiejś żałoby, i strumień łez jednostajnie płynący. Wszystkie ideały, jak promienie słońca o lodowatą skałę, rozbiły się kolejno o gładową rzeczywistość. Tu myśl szlachetna sponiewierana, tam głupstwo natrząsające się z prawdy; a wszędzie, wszędzie prawie wyrasta cierni na niwie, cnotą chrześcijańską, miłosierdziem Bożem zasianej!

Stanąwszy nad grobem tej przeszłości, załamalam ręce! Było to chwila zwątpienia, okropnego zwątpienia!... Nie mogłam płakać, chociaż serce łzami nabrzmiałe rozsadzało mi piersi!...

Nie myśląc o niczym, usiadłam przy stoliku, i otworzyłam mój pamiętnik. List wypadł z niego. List, który niedawno ze czcią nosiłam na sercu jak relikwią świętą; był to list zmarłej kobiety, pisany krótko przed śmiercią. Jój myśl ostatnia, ostatnie technienie zawarte było w tych zimnych, martwych głoskach. Te głoski przetrwały wiele, nie zmieniły się pod wpływem czasu, nie rozsypały się w popiół.

Na widok tego listu łzy trysnęły mi z oczu, paląca jakaś boleść przypomniła mi, że żyję; a treść pisma przywiodła na pamięć obowiązek, jaki na mnie wola umierającej włożyła.

Kiedyś, wśród jednej z tych rozmów pełnych uroku, co źródłem szczęścia płyną z serc młodzieńczych, przyrzekłyśmy sobie wzajem, że gdyby nas nieprzewidziane okoliczności przed śmiercią rozdzielić miały, ta, która dłużej na ziemi pozostanie, odprowadzi choć raz w życiu pielgrzymkę do grobu zmarłej.

W tém przedśmiertném piśmie było przypomnienie układu, obowiązującego mnie wolą testamentową nieboszki.

.....„Kiedy to pismo dojdzie rąk twoich, już mnie tu nie będzie..... Pamiętaj o przyrzeczonej pielgrzymce do grobu, który się przedemną otwiera! A mówiąc o grobie, myślę o biednych dzieciach moich.... Truchleję o ich wychowanie, o ich całą przyszłość.... Poznasz kiedyś dom nasz, męża mojego, bliższe stosunki sąsiedzkie...; wiadome ci są niektóre szczegóły, inne śmierć powlecze zapomnieniem..... Oby tylko dzieci moje były szczęśliwsze!....”

Te były ostatnie słowa, już skrzepłą nakreślone ręką. Przyjaźń stopiła się w uczucie macierzyńskiej miłości: myślała o dzieciach i o mnie.

O biedna matko! biedna ofiaro!—pomyślałam sobie, i dusza moja utonęła w magnetyczném jasnowidzeniu przeszłości! To, com niegdyś widziała, com zasłyszwała o niej od chwili naszego rozłączenia, czegom się domyśliła z jej listów, z urywanych, cierpkich odpowiedzi brata, który ją odwiedzał co rok prawie, i znał bliższe stosunki, tajemne okoliczności, w które smutny żywot tej kobiety zdawał się ręką losu wpleciony:—wszystko przesunęło się w mój pamięci wyrażnie, jaskrawo.....

Już ona przetrwała czyscowe męki tego świata, i cześć, pokój wieczny jej duchowi! Ależ te biedne dzieci! te dzieci, o których ona umierając, z boleścią myślała!.... Ależ ten mąż, o którym nigdy należytego powziąć nie mogłam wyobrażenia....

Dziwne rzeczy snuły mi się po głowie. Przypomniłam sobie nagle okoliczności, które towarzyszyły temu małżeństwu, i dreszcz mnie zimny przejął.

Matka Heleny owdowiawszy wkrótce po naszym rozłączeniu, miała, jak to u nas mówią, interesa, a prosto, długi hipoteczne i podatki zaległe, których nie było czém spłacić. Wypadało zatem wioskę wydzierżawić, i znaleźć dzierżawcę z kapitałem.

Pan Jan Ciemięga, były porucznik, a od lat dwudziestu gospodarz na cudzej roli, z gotowiuteńkimi 60,000 stanął w rzędzie pretendentów do dzierżawy, i otrzymał pierwszeństwo. W rok jakoś potem umarła matka, a w pół roku Helena napisała do mnie list smutny, poważny, oznajmując mi w kilku słowach, że czyniąc zadosyć woli umierającej matki, idzie za pana Ciemięgę, nie czekając końca żałoby.

Nie było w tym liście ani jęj myśli, ani jęj serca; wszystko powleczone było przymusem, zpod którego wydierało się ku mnie cierpienie! Głoski niektóre były dla mego oka wykrzyknikami boleści, inne błyszczały kroplami też palących, a inne wydawały tłumione jęki; przytém słowa powiązane w zdania były suche, ciche, zimne jak lodowata skorupa....

Odtąd korespondencya nasza trwała bez przerwy lat kilka i zakończyła się listem, z którego wyjątek przytoczyłam. Moje odezwy brzmiały zawsze dźwiękiem naszej przeszłości, wspomnieniami lat dziecinnych, lat dziewiczych, nad którymi dziś jeszcze rozśmiał się i zapłakać warto. Wydobywałam dla niej zpod serca wszystkie skarby tkliwych pamiątek, wszystkie nadzieje przyszłości, aby ideałem lat ubiegłych i lat oczekiwania pełnych wskrzesić w niej zapal i rozbudzić iskrę dawnego współczucia.

Jęj zaś listy wszystkie prawie, podobne były do owego, który mi zapowiadał to małżeństwo. Powoli, odzwyczaila się i przestała mówić o sobie; treścią jęj listów były zawsze dzieci. Poznałam, że one zajmowały nieustannie jęj myśl i serce. O mężu nigdy wyraźnej nie było wzmianki.

Myślałam całą godzinę. Noc przemarzyłam, a wkrótce potem wybrałam się w drogę. Dla siebie samęj, w skrytości serca, odbywałam pielgrzymkę do grobu świętęj—może męczennicy; dla profanów, dla świata, jechałam do ciotki mieszkającej w Lubelskiem, w sąsiedztwie pana Ciemięgi.

\* \* \*

Byłoby jakoś w połowie listopada. Nocy i ranki chłodne, dnie posępne a suche, i ziemia żółtym liściem zasłana, zapowiadały zbliżającą się pomrokę jesiennęj pory.

Mróz biały posrebrzył zeschniętą trawę, mglisty obłok unosił się ponad ziemią, a słońce łzawą, tęskną źrenicą patrzyło na ludzi. Wśród ciężkiej walki z gęstą warstwą mgły, odpowiadając powolne wniebowstąpienie swoje, słońce wydierało się ku nam, lecz z wolna gasnąc, sztywniało, jak martwa źrenica trupa, którego

powieki nie przymknęto; i mgła stała między światłem a ziemią: niebiosa pobladyły, wilgotne trawy poczerniały na niwach, ptaśto stadami się zlatywało, i dęszcz drobny, zimny, przejmujący w gęstej mgle spadać zaczął na ziemię.

Byłto ostatni dzień mojej pielgrzymki.

Naliczono mi jeszcze około sześciu mil do Woli, w której mieszkała moja ciotka. Po drodze miałam wstąpić do wsi, gdzie spoczywały zwłoki Heleny.

Dojeżdżaliśmy do miasteczka pamiętnego konfederacyą, a dziś zalecającego się topielami czarnego błota, pewną liczbą walących się domów, brudem i nędzą mieszkanców, drewnianą uniacką cerkwią i opasłym dzierzawcą, którego żona i córki sprowadzają fioki ze Lwowa, śpijąc włoskie arye po *polsku* i parodując nielitościwie utwory Liszta na klawicymbale.

O małośmy nie utonęli w tém historycznym mieście.

Wydobyszy się na równą drogę, woźnica oznaczył gości-niec znakiem krzyża świętego, mówiąc:

„Będzieto jeszcze z jakie półtoręj mili, ale że droga górzysta i po dęszczu oślizła, to się wolno pojedzie.”

Miałam przed sobą około dwóch godzin czasu. Usnąć nie mogłam: myśl żalu i tęsknoty pełna, ciężła mi ołowiem na sercu. Wzięłam książkę. Byłto jakieś myśli o wychowaniu, jakaś rozprawa o uczuciach, jakiś systemat naukowy; a wszystko razem miało być modłą, wedle której nowe pokolenie kobiet ukształcić się było powinno. Systematyczny i kategoriyczny wykład obo-wiązków religijnych, zastanowił mnie. Bo jeżeli religią, to wie-le znaczące dziś słowo, pojmujemy tylko zewnątrznie; jeżeli duszą i ciałem przywiążemy się do formy, do litery, nie przenikając sercem wzniosłych zasad i najrozleglejszój idei: jakż owoc wyda to zeschle ziarno? O! zachowaj nas Boże, aby wiara nasza była martwym, zlodowaciałym trupem, bez miłości, bez czynu!.. Żebyśmy świecąc ludziom faryzejską cnotą, niesły Bogu w ofierze serce obojętne na cierpienia, na nędzę i ucisk bliźniego; żebyśmy z założonemi próżniacko rękoma, pożywały chleb powszedni, potem i krwią biędnego skropiony. O! zachowaj nas Boże od takiej cnoty....

Doczytujać ostatnich kartek rozdziału, wyjechałam na wzgórze. Droga wązka i kręta ciągnęła się żółtym paskiem wśród pagórków, okrytych zielonemi kępami sośniny. Ten żółty pasek,

stykał się z czarną zakłęśłą groblą, ściskającą rozlane wody zarosłego miejscami stawu. Wśród grobli sterczał ponuro zaszargany młyn wodny; wokoło niego biegała boso dziatwa w obdartej koszulach, prosięta nurzały się w błocie, a gęsi z przeciągłym krzykiem ulatywały na środek stawu. Na prawo wznosił się na pochyłości wzgórza wiejski nieogrodzony cmentarz. Krzyż niegdyś czerwono malowany, i gęsto posiane mogiły bez pomników, bez ozdób, świadczyły, że tam spoczywają kości kilku zapracowanych pokoleń, o które potomność niewiele się troszczy. Tylko znak zbawienia, święte godło męczeństwa, wzniesione kosztem włościańskiej gromady — krzyż, z wyciągnionymi ramionami sterczał wśród mogił, jakby przygarnąć, przytulić chciał do serca kości męczenników, których żywot przewlókł się w ciężkim a krwawym znoju! Dalej w prawo, wyglądał murowany kościółek wśród zabudowań słomą pokrytych; za kościołem nikła wieś w parowie, a za wsią ukazywały się potężne mury, w czarne, białe i czerwone płyty, ręką czasu i niedbalstwem człowieka poznaczone. Tuż obok kościoła była plebania z gospodarskim zabudowaniem: stajnia i stodoła bez dachu, obora rychłym upadkiem grożąca, a dom mieszkalny lubo murowany, więcej podobien był do karczmy, niż do plebanii. Przed domem stał średniego wieku mężczyzna z fajką w ustach, w zielonym surducie barankiem podszytym, i w butach palonych, który donośnym i ostrym głosem lajał stojącego przed nim włościanina. Chciałam się zapytać tego człowieka o miejscowego proboszcza, o którym nieraz wiele dobrego słyszałam od Heleny, a którego znajomość takby mi się przydała w obecnej chwili.

Na zapytanie moje o księdza Pawła, człowiek z fajką w ustach odpowiedział mi z szczególnym wyrazem spojrzenia i głosu:

— Ho! ho! ho! moja Mościa Dobrodziejko! już z księdza Pawła dawno nieboszczyk.

— A jego zastępcą?..

— Ja jestem, moja Mościa Dobrodziejko!.. Cóż pani do księdza Pawła miałaś za interes?

— O! żadnego interesu, ale pragnęłam się z nim widzieć w przejeździe... A pan Ciemięga, czy mieszka jeszcze w tych dobrach? Czy go zastanę w domu?

— Pan Ciemięga jest przecie dziedzicem i zapewne zastaniesz go pani, bo nie zwykł z domu wyjeżdżać.

— Dziękuję panu. Więc pojedziemy do dworu.— Zastępca czyli następca ks. Pawła dziwne na mnie zrobił wrażenie: głowa prawie łyśa, profil sfinxa, spojrzenie bystre, głos rubaszny i przeraźliwy tego człowieka, przypominał mi ów typ starych ekonomów, których ród u nas jeszcze nie zaginął. Czy podobna, ażeby taka powierzchowność okrywała duszę wiejskiego plebana, duszę opiekuńczego anioła, anioła pocieszyciela rodziny włościan!

Z okiem łą zaszłém, z bijącym sercem jechałam ku dworowi. Dwie murowane kolumny, z których tynk pooblatywał, świeciły starą cegłą, żółtemi gdzieniegdzie plamami równie starego wapna, parodując bramę tryumfalną do zwalisk starego zamku. O kilkaset kroków sterczała kamienica o piętrze, z bramą na przestrzał otwartą, do której wjeżdżano po chwiejącym się mostku, zarzuconym nad dość głębokim ale suchym rowem. Z bramy na przestrzał otwartej wjechałam na wielki kolisty dziedziniec, po którym indyki i gęsi wydeptywały resztę żółtłej trawy, a wieprze nurzały się w kałuży rozlanej przed oficyną, gdzie była kuchnia. Nad drugimi drzwiami, obok kuchni, wisiał wymalowany orzeł, znak mieszkania wójta, a z sieni rozlegał się na zewnątrz krzyk bolesny, przeplatany odgłosem niemniej bolesnych razów, i wrzask człowieka, który obsypywał kogoś obelgami i złorzeczeniami. Psy leżące przed kuchnią zaszczekały i zawyły żałośnie, ale żaden z miejsca nie powstał.

Zmieszana i wystraszona zajechałam przed dom murowany bez piętra, o dziesięciu frontowych oknach, o wielkim krużganku na sześciu słupach wspartym, do którego prowadziły szerokie, kamienne, potężnie zabłocone schody. Ponad domem wznosiła się wieżyca z ganeczkiem, na którego poręczy powiewały, jak flagi statku, stare zgrzebne worki, kolorowe nasypki i świeżo poprane szmaty. Przed domem stało kilka zaszlochanych kobiet, z których dwie zawodziły głośnym płaczem; najstarszą z nich uspokajał młody parobczak, którego oczy iskrzyły się dziwnym blaskiem, a po twarzy dwie łzy się toczyły.

— Cichoście jeno matulu, co wam pomoże tak zawodzić: taj go może nie zabiją odrazu.

— Oj! dolaż moja dola! — jęczała stara kobieta — O! joj, joj! jooj!

Wtém, niska, czerwona, otyła kobieta wypadła z sieni z pękiem kluczy w rękę i przeraźliwym głosem zakrzyczała:

— Poszli precz! wy draby; tylkobyście się naprzykrzali, tylko pana gniewacie; a jak dostanie który, to się baby złączą i beczą przed domem. Pójdziecie mi ztąd precz, wy chamy, gałgany!

I biédni ludziska ustępowali z przed domu, a stara w płachtę owiniona kobiéta coraz głośniej zawodziła.

Struchlałam, nie wiedząc czy wysiąść, czy zawrócić w dalszą drogę; ale już było zapóźno.

Weszłam do ogromnej sieni cegłą brukowaną; doły i wyboje błotem naniesione, biało brudne ściany, wychudłe psy po kątach leżące, nową we mnie obudziły odrazę.

Służący domowy wpuścił mnie drzwiami na lewo do wielkiej izby, a sam zniknął natychmiast.

Człowiek wpadający nagle do wilczej jamy, pochwycony ze snu do jaskini lotrów, lub wepchnięty za życia do piekielnej otchłani, wyobraziłby sobie może uczucie jakiego ja w téj chwili doznałam.

Izba do której mnie wpuszczono, była niegdyś wapnem bielona, ale kurzem i pajęczyną pokryta, miała wątpliwego koloru ściany. Brudna, dębowa, spaczona miejscami podłoga; trzy wielkie okna, jak trzy wylupiaсте oczy pozbawione powiek i rzęsów, oświeślały aż nadto wewnętrzny nieporządek mieszkania. Pod oknami poustawiane na ziemi w kępy donice z żółtymi krzewami, których liście pokrywała gruba warstwa pyłu. W jednym kącie fortepian zamknięty, w dwóch innych kanapka o trzech nogach i sofka perkalem pokryta: przy drzwiach orzechowe biurko atramentem złane; ogromna spluwaczka z prostych zbita desek; kilka rycin krzywo na ścianie pozawieszanych, których pod straskaniami napół szklami, pod kurzem i brudem rozpoznać nie było można;—nakoniec ogromny komin i piec jeszcze ogromniejszy, składały wewnętrzny obraz téj mieszkalnej izby.

Patrzałam naokoło siebie z osłupieniem, gdy nagle drzwi od sieni szeroko się rozwarły i mężczyzna silnej budowy, cały zadyszany, około lat 50 mający, wtoczył się do pokoju. Powierzchność tego człowieka miała coś zatrważającego, a przynajmniej dla mnie już i tak wystraszonej tém, co wokoło siebie słyszałam. Oczy wielkie i bystre, czoło płaskie, nos krótki otwarty, usta poblądłe i wilgotne, włosy prawie siwe a rozczochrane, przypominały mi lwa widzianego kiedyś w menażeryi, tylko że lew miał lwią powagę, a człowiek z podobieństwem do lwa miał wyraz obłąkanego w paroksyzmie szaleństwa. Biała nakrochmalona chustka, której zmięte końce spadały na piersi, owijała szyję wysoko aż pod uszy. Długi surdut, zapięty w stanie na jeden guzik, dopełniał ubranie tego człowieka.



— Zapewne mam przyjemność widzieć p. Ciemięga?— rzekłam nieśmiało zdobywając się na pytanie. Zagadniony wśród ciągłego sapania odpowiedział mi:

— Tak jest — i stanął przedemną jak wryty, zanurzywszy ręce w kieszenie surduta.

— Pan Dobrodziej odebrałeś zapewne list, w którym przypominałam mu dawną moją znajomość z jego żoną, a opierając się na prawach przyjaźni łączącej mnie niegdyś z Heleną, prosiłam pana o pozwolenie odwiedzenia jej dzieci...

— Tak, tak—odpowiedział pan Ciemięga—ale moje dziewczęta pojechały na odpust z siostrą proboszcza, i nie wrócą aż jutro.

— Gdybym była pewna, że to panu nie zrobi różnicy, zaczęłabym do jutra, jakkolwiek spiesźnie dążyć do mojej ciotki.

— Można zaczekać; myślę, że jutro po nabożeństwie przyjadą.

Pan Ciemięga stał zawsze jak wryty przedemną, a ja przed nim, nie wiedząc jak sobie to szczególnie przyjęcie tłumaczyć; ale przebywszy pierwszy ogień postanowiłam czekać. Po tej lakonicznej rozmowie, pan Ciemięga uklonił się grzebnawszy w tył prawą nogą, i wyszedł zostawiając mnie samą. Niedługo weszła z zadąsaną twarzą owa otyła kobieta, którą na wstępie samym ujrzałam, i otworzyła przyniesionym kluczem wielkie drzwi na prawo do salonu.

Ten salon było oaza wśród puszczy, perła w śmietniku, dyament oprawiony w zardzewiałe żelazo. Otwierano go tylko dla szczególnych i rzadkich gości, do liczby których i ja musiałam należeć. Zrozumiałam to nieme zaproszenie i weszłam do owego salonu.

Po odejściu natrętnych świadków, zaczęłam troskliwie oglądać wszystkie sprzęty, wszystkie porozstawiane drobiazgi, a każdy prawie był dla mnie wspomnieniem. Skutkiem pory jesienniej, niezamieszkania i nieprzewietrzenia, wilgoć i chłód połączone z wonią pleśni, napełniały powietrze tego pokoju zimnym tchem grobowym. Rzekłbyś, że ztąd dopiero co umarłego wyniesiono, albo że tu jeszcze gdzieś ukryte leży ciało niepogrzebane.

Poblądle wizerunki rodziców Heleny, kilka lepszych oryginałów szkoły flamandzkiej, dwa wielkie lustra wisiały na białych ścianach, w środku pajak brązowy z szklanymi wisiadełkami błyskał ogniem rzniętego dyamentu; na stolikach porozstawiane drobiazgi, a pomiędzy nimi zabawki dziecinne: flaszeczki, kałama-



ryk, koszyk z drzewa wyrobiony i mała szklaneczka. Byłyto upominki z naszych lat dziecięcych, upominki dane w dzień imienin wśród serdecznych uścisków i łez radosnych.

Częstokroć rzecz napozór drobna, liść zeschły, zmięty i pożółkły papierek, są dla serca skarbami, kiedy ręka przyjazna dotknęła się onych w stanowczej chwili, kiedy nad nimi wymówione zostały miłości lub przyjaźni słowa, kiedy tę drobnostkę gorącym oceniając sercem i nazwiskiem *pamiątki* poświęcamy.....

W kącie stała przymknięta szafka z książkami. Przez szybę odczytywałam ich nadpisy, nie śmiejąc bliżej się im przypatrzyć. A jednakże..... oh! jakbym też była chciała wysledzić w tych martwych, otaczających mnie sprzętach, tajemną treść spędzonego między nimi żywota; jakżebym była chciała dowiedzieć się od nich co ona myślała, co cierpiała myśląc, kiedy mnie jej zimne, ciche dochodziły listy! Gdyby choć jaki dziennik, jaki pamiętnik, jaki ślad, któryby mi ukazał w prawdziwym świetle jej kilkoletnie małżeńskie pożycie.....

Ten mój przegląd nagle przerwany został odgłosem dzwonka i wezwaniem na wieczerzę. Nie byłam głodna, jednak odmówić nie wypadało, gdy odwiedziny moje i tak, o ile uważałam, nie przypadały gospodarzowi do smaku.

Pan Ciemięga czekał na mnie w sieni ze świecą, i zaprowadził przeciwnymi drzwiami do jadalnej izby.

Była to rodzona siostra tej, do której zostałam wpuszczona na samym wstępie. Też brudne ściany, też czarna i spaczona podłoga, też trzy ogromne okna i także zielone kępy geranium i tureckiego pieprzu warstwą pyłu pokryte. Małe, zakleszczone krzeselka, czarna skórą obite, dwie czarne szafy, stół na środku i stół przy piecu:—oto sprzęt cały. Na ścianach wisiały jakieś jaskrawe wizerunki, których podobieństwa ani znaczenia dociec nie mogłam; w kącie zegar z kukułką ośm razy zasyczał.

Kiedyśmy wchodzili, powstał w kącie siedzący, małego wzrostu mężczyzna; przed domem jednocześnie zaturkotała bryczka, i wkrótce potem ukazał się we drzwiach ksiądz proboszcz.

Pan Ciemięga kiwnął na służącego, który przyniósł flaszkę wódki i kieliszek, poczem usiedliśmy do wieczerzy.

— No, i cóż tam proboszczu?—odezwał się p. Ciemięga—No, i cóż? jakże tam ten pogrzeb? jakże stypa?

— Ha! cóż?—odpowiedział przewlekłym głosem proboszcz—dali obiad, ale wino było *kiepskie*, i nie było się z kim zabawić.

— Jakto? a pan Wincenty? a kapitan? a konsyliarz Proszkiewicz?

— Ah, gdzie tam! Co pan chcesz, z temi kobietami to trzeba oszaleć, i dobrze téż że nam się żenić niewolno. Tu matka nieboszczyka, tu siostry, tam żona mdlęje i płacze, na serce chorują, tak, że mało umarłego z grobu nie poruszą. Ja się tam temu nie lubię przypatrywać i zaraz téż po obiedzie wyjechałem.

— Oho! to ci się nie udało, kiedy nie było z kim w *djabelka* zagrać. Ale bo téż się księdzu niegodzi grać w *djabelka*—dodał z głośnym śmiechem p. Ciemięga.—Wszak prawda Pani Dobrodziejko, że księdzu *zasie* od *djabelka*.

Odpowiedzieć było z méj strony rzeczą niebezpieczną, lecz szczęściem nikt odpowiedzi nie czekał.

— No, a mowę nad grobem tyś miał zapewne—dodał pan Ciemięga—toś się tam musiał *wściekać* (1) proboszczu! Nie uwierzysz Pani Dobr. jakato zapamiętała sztuka z tego proboszcza, kiedy jest na ambonie. A pięknie mówi... bardzo pięknie!...

Nowy turkot przed domem, nowego zapowiedział gościa; jakoż po chwili wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, którego tytułem kapitana powitano.

— O wilku mowa, a wilk tuż—zawołał proboszcz—A cóż—to kapitanie, uciekłeś od stypy!?

— A co ja tam miałem robić? — odparł kapitan szepleniąc.

— No, to sobie tu zagramy w wisteczka, kapitanie.

— A ktoby tam grał w wisteczka, sędzio dobrodzieju! ja usypiam rachując lewy i robry.

— To jak wam się podoba, ja zawsze do gotowego—odpowiedział gospodarz.

Mężczyzna, którego wchodząc zastaliśmy w jadalnej izbie, polykał w milczeniu dar Boży i zdawał się obojętnym na rozmowę obecnych, gdy go zagadnął proboszcz:

— A cóż konsyliarz na to?

— Ja Moci Dobrodzieju nigdy nie grywam, nigdy nie lubię, nie umiałem grać w karty; a mnie to na co, Moci Dobrodzieju...

— Konsyliarz to sobie lubi fabryki... spekulacyjki... Jakże się tam udał ten krochmal?... a ów karuk, co to go koty zjadły?... ha! ha! ha!

(1) Było ulubione przysłowie p. Ciemięgi.

— Wolne żarty, Moci Dobrodzieju, wolne żarty. Takto tak, Moci Dobrodzieju, takto tak, czasem się coś nie uda, czasem się coś zepsuje, Moci Dobrodzieju; takto tak Moci Dobrodzieju.

Tu pan konsyliarz polknął ostatni kawałek pieczeni i zapił szklanką piwa koniec swój przekonywającej obrony.

Po wieczery rozwiązał się język panu Ciemiędze, ale na moje nieszczęście; bo siląc się na dowcipy opowiadał swego utworu dykteryjki, nadziewając je obrażającami dwuznacznikami, z których śmiał się sam do rozpuku.

Chcąc nadać inny kierunek tej wesołej rozmowie, zwróciłam uwagę na wizerunki wiszące na ścianie w czerwono pomalowanych ramach.

Pan Ciemięga wziął świecę w rękę i podniósł ją do góry, bo pomimo dwóch świec na stole zapalonych, w czarnej ogromnej izbie było zupełnie ciemno. Pan Ciemięga z całą tedy uprzejmością na jaką się mógł zdobyć, przyświecając okopconym ścianom, pokazywał mi wiszące na nich malowidła.

Byłyto portrety całej prawie żyjącej jego rodziny. Począwszy od pana Ciemięgi aż do starego domowego kota, każdy siedział jak zaklęty w czerwonych ramach, przypatrując się w milczeniu odgrywanym codziennie scenom w tej ponurzej izbie, któraby posłużyć mogła za wzór niejednemu z flamandzkich malarzy, zdejmujących z natury obrazy karczemnej hulanki.

Spojrzawszy na te okropne utwory artysty-bazgracza, przypomniałam sobie bóty na okiennicy wymalowane w jednym z naszych miasteczek, oznaczające mieszkanie *fabrykanta obuwia*. Zaiste, owe buty więcej były warte pod względem wykonczenia i podobieństwa, od zgromadzonej na ścianie rodziny Ciemięgów.

Ganić nie mogłam, chwalić nie miałam sumienia; oglądałam przeto w głębokim milczeniu tę parodię sztuki.

Pan Ciemięga pewien że podziwiam te arcydzieła, odezwał się głosem zadowolenia pełnym:

— A wie Pani Dobr., że to wszystko zrobił guwerner moich dzieci!?

— Doprawdy?

— O tak! to człowiek mający rzadki talent! Powiadam pani, wszystko umie!

— To szczęście znaleźć takiego człowieka.

— Boto widzi pani, gra na fortepianie, po francuzku trzepie jak Francuz, był kilka lat w Paryżu, a maluje odrazu, na poczekaniu.

— A gdzie się ten pan znajduje?

— Wyjechał na parę tygodni do Warszawy. Szkoda, że go Pani Dobr. nie poznasz, bo to człowiek rzadki.... Powiadam, wszystko umie!

— Młody chłopak, ale zdatny—bąknął ksiądz proboszcz.

— I pan nie wahałeś się powierzyć wychowania swoich córek młodemu człowiekowi?...

— A cóżto szkodzi? Zresztą powiem pani szczerze, że ja nie chcę, żeby moje dziewczęta były mądre; wcale tego nie chcę; niech się nauczą gadać po francuzku, kiedy na tém świat stoi, trochę klepać na fortepianie i trochę malować, to będzie z nich aż nadto....

W téj chwili drzwi się z trzaskiem rozwarły, a w nich ukazała się zaperzona klucznica, która groźnym głosem zakrzyczała na służącego:

— Cóżto! ty chamie! ty mucu jakiś! Co ty mi będziesz bił chłopca, ja ciebie nauczę!...

Służący niewinnie się półgłosem, a pan domu spojrzawszy ostro na niego, odezwał się bojaźliwie do krzykliwej gospodyni:

— Proszę cię, daj pokój; wiesz, że tego nie lubię...

— Co mi tam!—zakrzyczała i trzasnąwszy drzwiami znikła przed oczu.

Po wieczery i ukończoném sprawdzeniu podobieństwa rodziny Ciemięgów z ich wizerunkami, gospodarz domu wyjął z kantorka dwie talie brudnych kart, rozłożył stolik obity podartém i poplamioném suknem, postawił na nim dwie łojowe świeczki i dał znak do rozpoczęcia gry, co było dla mnie znakiem pożegnania tych panów.

Pan Ciemięga powtórzył ze mną ceremonią przeprowadzenia przez sień ciemną i zasłaną psami, które na noc uciekały z dworu pod strzechę.

Wróciwszy do przeznaczonéj mi sypialni, do owego pokoju w którym technienie śmierci i technienie wspomnień cisnęło mi piersi, puściłam się szybkim chodem wzdłuż i wszérz téj izby, żeby rozbić kipiącą chmurę myśli, żeby stopić zlodowaciałą bryłę co mi w piersiach stężała, żeby ją wypłakać łzami tęsknego żalu...

Lecz daremnie!.. Trzy wielkie, obnażone okna, wychodzące z przeciwnéj strony domu na ogród, biły we mnie światłem księżycowej nocy i naprószonym całunem śniegu. Na błękitnawém tle sklepienia leciały chmury stadem rozpierzchłych gęsi, muszcząc z przymileniem zasępioną twarz księżyca; pomiędzy niemi błysnęła kiedyniekiedy gwiazdka nieśmiało i wnet nikła wśród nawalnej chmur powodzi, a księżyc siał ziemi niechętnie światło, przedzierając się ku niej drżącym i słabym promieniem. Szkielety drzew obnażonych ciągnęły się pasmem w czworobok, którego czwartą ścianą była długość domu, a wznosząc się niby hebanowe ramy rzucały cień na rozpostarty przed okiem śniegowy całun. Na tym całunie, w pewnej od siebie odległości, dziwne jakieś kamienne posągi, pozbawione: ten głowy, ten ręki, ów nogi, a tamten przerwany do połowy, sterczały jak wojownicy skamieniały wśród walki na pobojuwisku; a dwa piramidalne świerki, jak dwa zakłète karły, wieczną okryte zielonością, stały niewzruszone naprzeciwko siebie.

Wicher szalał dokoła, szturmował do okien, świstał w dymnikach, huczał ponad głową, jęczał płaczliwie ponad mogiłą zmarłych, i porywał z sobą w nieskończoną przestrzeń odgłos radośnych okrzyków, bolesnych westchnień i przekleństw rozpacz; tylko pobojuwisko skamieniałych rycerzy okute w czarne kościotrupów szeregi, w głuchém pogrążone było milczeniu.

Na stojącym w kącie stoliku leżała czarna safianowa teka, obok palącej się w lichtarzu świecy. Spodziejając się znaleźć tamże cośkolwiek z jéj przeszłości, choćby tylko kwiatki jéj ręką malowane, poważyłam się otworzyć tę zapyloną tekę, do której zapewne od jéj śmierci nikt nie zaglądał. Otworzyłam. W jednej kieszonce były prawie wszystkie moje listy; w drugiej jakiś rękopism jakby z umysłu nieczytelnie kreślony, w którym jednakże nietrudno mi było poznać rękę nieboszki.

Zobaczywszy to, zdało mi się, że ją samą ujrzałam, że mi się duch jéj w tych głoskach objawił, żeśmy się obie w krainie duchów spotkały. Nie widziałam nic przed sobą, nic za sobą, tylko pismo nieboszki.

Byłażto jéj spowiedź, czy testament?

Przerzuciłam najprzód wszystkie kartki, nie patrząc na wyrazy kreślone: niektóre z nich rozplynęły się na papierze pod kroplą łzy gorącej;—i kiedy jéj ciało w proch się oddawna rozsypało,



ta łza, niby cząstka nieśmiertelnej duszy, przetrwała cierpienia ziemskie i świadczyła o nich.

\* \* \*

Pókim był dziecięciem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, rozmyślałem jako dziecko; lecz gdy się stałem mężem, zaniechałem rzeczy dziecinnych.

*Św. Paweł do Koryntów w r. XIII.*

Pamięć — to żywy posąg Memnona, co przy świetle promieni słonecznych wydaje smętne, harmonijne dźwięki: to pamięć moja! Ona bez słów jest tylko przeddźwiękiem uczuć i myśli, co się potokiem rozlały w świat ducha i popłynęły tam! w nieskończoność!

Gdy zamknę oczy, to przeszłość cała, moja i nie moja, jak obrazek cudowny świeci w mej duszy. Wszystko co zmarło, wraca do życia: ły i uśmiechy dziecięcia, uroczy smutek lat młodości, długie, senne marzenia o niebie przyszłego szczęścia; a dalej, dalej idzie bolesne w świat przejrzenie, pierwsza omyłka, pierwszy zawód, i na tém się kończy poezja naszego żywota.

Po takim śnie krótkim, zbroimy się w pancerz cnót archanielskich, w tarcz odwagi, w miecz słowa; bierzemy na się wszystko, co tylko boskiego zlał Bóg na ziemię, i wstępujemy, jako bierzmowani rycerze ducha, do walki sami z sobą i z otaczającym nas światem. Jestto walka na śmierć lub życie! Człowiek powstanie z niej mężem, albo zginie robakiem, podniesie się aż do bóstwa, lub zniży do poziomu bydła; a to co zostanie pomiędzy jednym a drugim, niewarte wspomnienia: to co nie walczyło o życie, życia niewarte! Jeżeli bój zacięty, to i chwala wielka; a cokolwiek wypadnie, anioł nieśmiertelności włoży walczącemu na skronie wieniec z najświętszych usiłowań.

Wpośród tej walki, nieraz pierś, co tchnęła poświęceniem dla braci, stygnąć zaczyna, iskra boskiego ognia gaśnie, zasypuje się popiołem! Myślelibyście, że się wszystko kończy dla człowieka; ale szczęściem czy nieszczęściem, to tylko przesilenie, ostatnie sił wyczerpanie, ale jeszcze nie śmierć, jeszcze nie upadek, jeszcze nie ciemność wiecznego zwątpienia.

Bo zawsze po pierwszych zawodach następuje odrętwienie, a po nim wraca znowu nieczem niewyciężona w nas siła uczucia; i wtedy cień obleka się w ciało, przeobrażone w nas uczucie rozlewa się czynem wokoło, przechodzi w rzeczywistość, w prawdę, w ludzkość!

Oto cała biografia ducha naszego, cała historia jego ziemskiej pielgrzymki; może z opuszczeniem kilku odcieni i wariantów, które treści jego nie zmieniają bynajmniej.

Choćby mnie za to mędrcy świata tego ukamienować mieli, powiadam: iż nie wierzę w żadną potęgę rozumu, ale za to, że czcią religijną wierzę w potęgę serca. Wszakże człowiek wiele rzeczy pojmuje, przenika, odgaduje, i nieraz rozwiąże najtrudniejszą hipotezę życia społecznego nachylając rozum do serca, jeżeli to serce pełne uczuć braterskich, pełne miłości i wiary!

Ale dajmy temu pokój!.... Ludzie uczeni i nieuczeni tyle już papieru zapisali o rozumie i sercu, o nauce i głupstwie, że rozprawiać dziś o tém byłoby prawie śmiesznością, a przynajmniej rzeczą niepożyteczną dla tych, co piszą i dla tych, co czytają.

Dziwne mi się nieraz myśli po głowie płacząc! Taka przeczudna panorama rozwija się w głębi ducha, a objawić tego wszystkiego oczom ludzkim nie potrafię inaczej, jedno słowem. A czémże jest słowo dla oka? Czém barwa dla ucha? Czém dźwięk dla podniebienia?—zagadką... zagadką... Wiele rzeczy minionych pamiętam dokładnie, inne widzę tylko poza mgłą ważniejszych wypadków, a inne jeszcze są wciąż przytomne, widzialne, i po nich to, niby po drogoskazach łatwiej zstąpić w przeszłość!....

Widzę najprzód przez mgłę jak mnie nianka, moja pocziwa Marysia, na rękę nosiła; słyszę, jak mi nad kołyską śpiewała piosnkę o *kalinie co w dole stała*, jak mnie uczyła chodzić po zielonym kobiercu kwiecistej łąki, jak ręce do modlitwy składała, a święconym obrazkiem uroki i podstępny szatański od śpiączki dziecięcy odzęgnywała.

Opowiadano mi później, że matka karmiąc mnie utraciła po kilkodniowej chorobie starszego syna; a w żalu swoim podając mi pokarm z piersi zmartwieniem zatrutą, wyrzekła te okropne w ustach matki słowa: „Kiedy on umarł, to niech i ją Bóg zabierze!”. Ale Bóg zabrać nie chciał dziecięcia, któremu biedna zrozpaczona matka śmierci życzyła; bo On wiedział, że to były słowa rozpacz bezmyślniej, a nie głos jej serca!

Żył więc dziecię skazane słowami matki; przetrwało kilkodniowe konwulsje i zwyciężyło śmierć, która porzucając zdobycz swoją, wypiętnowała na jego obliczu tę bladość tajemniczą, co to zawsze światu jakieś ukryte cierpienie zwiastuje.

Rok w rok musiało przetrwać jaką chorobę, śmierci się okupić częścią sił żywotnych; bo powiadam, iż to było dziecię



skazane, któremu życie miało być walką, nadzieja zawodem, wesele żałobą, a dzień ostatni zmartwychwstaniem ciała i duszy. Widocznie też słabło na siłach, gasło w oczach matki, któraby wtedy życie własne za życie dziecięcia była oddała; i jak przedtém modliła się do Boga: „śmierci! śmierci!”, tak potem modlitwą serca wzywała: żyć! żyć!

Biędna matka! nie wiedziała o co prosiła ani przedtém, ani potém.

Niedostatek sił fizycznych, pewne rozprężenie organizmu nerwowego, zabijając powoli ciało, wpłynęło na rozwijanie się władz duchowych, rozdrażniło myśl i uczucie, i usposobiło dziecię do pojmowania życia—przez cierpienie! Okoliczności zewnętrzne wzmogły jeszcze ten stan anormalny. Rodzice poczęli zawczasu nucić dziewczynce smutną zwrotkę ziemskich boleści, zawczasu ją oswoili z wiedzą złego i dobrego—raj niewiadomości był dla niej stracony! Chciano aby odrazu myślała jako człowiek; nie dano jój być dziecięciem i grzech pierworodny stał się dla niej pokutą za grzechy świata! Pomiędzy innemi powiedziano jój, że jeden człowiek stać się może zgubą drugiego, że dobry czyn nie bywa przez ludzi nagradzany, a zły niezawsze karany; że miłość i sprawiedliwość sąto ideały, dotąd w księgach zawarte, duchem świętych mężów opromienione, lecz niemające związku z rzeczywistością i w sprawę ludzką dotąd niewcielone.

Czy to było złe, czy dobrze?—ja nie wiem. Ale to wiem, że dziewczynka w 7mym roku pojmowała przeznaczenie swoje, nie jak dziecko, ale jak człowiek. Nie lubiła lalek, nie miała zabawek; dzieci jój unikały, bo była smutna, cicha i zamyślona; starsi wzruszali ramionami, a matka radziła się lekarzy.

Istotnie potrzeba było lekarza, ale nie lekarstwa sporządzonego według łacińskiej recepty.

—Dajcie pokój—mówił ojciec—jój trzeba ruchu, świeżego powietrza, swobody, rozrywki: przyjdzie ona z czasem do siebie.

Stosownie do tego przepisu, zostawiono mi ruch, wolność próżnowania i wywożono mnie na świeże powietrze. W istocie odżyłam cokolwiek za rogatekami wielkiego miasta.

Taki był wstęp do życia.

Nie uczyłam się niczego naprawdę do lat dziesięciu. Nie wiem nawet, kto, gdzie i kiedy nauczył mnie czytać, i jakim wypadkiem wzięłam pierwszy raz pióro do ręki. Ale to pamiętam,

że ojciec, zamiast bajek o zaczarowanych pałacach i zaklętych księżniczkach, opowiadał mi wielkie zdarzenia historyczne, oswajał pamięć z imionami zacnych mężów, zapełniając myśl prawdą, zawsze prawdą teraźniejszości i przeszłości, ażebym kiedyś prawdę przyszłości zrozumieć mogła i w potrzebie sama ją z własnej piersi wysnuła. Czasem matka przypomniawszy sobie jakie ważniejsze współczesne zdarzenie, jakiś wypadek w związku będący z historią, rozwinęła zajmującą powieść, ciekawy a przerażający niekiedy dramat, po którym łzy i krew ciekłą naprzemiennie. Słuchałam jęj całą duszą, bo ona zawsze dodać mogła: „ja tam byłam, ja to widziałam; mój ojciec, moi bracia także tam byli...”

Już mi dziś trudno obliczyć, ile takie rozmowy plennych ziarn w umysł rzuciły, jak ważnym były wstępem do naukowego wykształcenia, jak przysposobiły serce do ukochania prawdy najwyższej. Kiedy słyszę jak dzieci moich sąsiadek popisują się nabytymi z książek wiadomościami, jak ośmioletnie dziewczęta umiejące zaledwie czytać, znają na palcach historią wszystkich bożków greckich, i pięcioma językami budują w swojej głowie wieżę Babelu: zaprawdę, litość mnie bierze! I myślę sobie, dlaczego ludzie mający pretensyą do naukowości, mający rozsądek w powszedniem życiu, tak go mają niewiele w najważniejszym zakresie swego powołania? Dlaczego jeszcze tylu zabitych na umyśle i umarłych na sercu, kiedy oto przed nami, wśród nas takie obfite źródło *żywej wody*, taka niewyczerpana skarbnica wiedzy stoi otworem? I dlaczego jedni szukają w niej tylko zaspokojenia potrzeb materyalnych, drudzy, nasycenia próżności; a mało komu przyjdzie na myśl, żeby z niej wydobyć prawdę rzeczywistą, prawdę, co się ma z duchem naszym związać, z życiem zespolić, i rozwinąć w niem owę twórczą potęgę, co jak pieśń cudowna w obłoki uderzy, a potem iskrami rozsypie i światłem cudownem rozplynie się na ziemi..

Tak więc do lat dziesięciu nauczyłam się przypadkiem czytać i pisać, bo nie pomnę odkąd zaczęłam czuć i myśleć. Bez żadnego przymusu matka wzwyczajała mnie do pracy, nauczyła wiele rzeczy praktycznie, o których siedząc na ławce szkolnej nie byłabym się nigdy dowiedziała. Korzystała z każdej okoliczności aby mi wskazać obowiązki, jakie religia wkładana w wszystkich ludzi w ogóle. Nigdy powinności człowieka nie ujęła w formułkę, w zdanie uświęcone, gdzie najczęściej martwa litera zastępuje żyjącego ducha; ale starała się zawsze naukę życia czynem objawić.

Ztąd poszło, iż potrzeba istotnego, rzeczywistego pożytku zamieniła się u mnie w drugą naturę, stała się warunkiem życia towarzyskiego, i wyrobiła to przekonanie, że niezgięta wola w połączeniu z pracą, koniecznie czyn odpowiedni wydać musi.

Później, w zetknięciu się z ludźmi zjednało mi to przydomek kobiety oryginalnej, excentrycznej, poza obrębem konwencyonalnego świata żyjącej, może nawet szalonej! ale mniejsza o to.

Dla mnie też atmosfera owego świata była istotną malaryą włoską, duszę zabijającą! Ona tłumiała swobodę w mojej piersi, lodowaciła mi serce, wysuszała mózg, i byłaby sprowadziła śmierć duchową, gdyby mnie okoliczności z tego ciasnego koła nie były wyrwały.

Długo opierali się rodzice naleganiom ciotek, babek i troskliwych o moje wychowanie przyjaciółek, utrzymujących, że czas wielki systematycznie ze mną nauki rozpocząć. Wkrótce też stało się zadosyć ich woli.

Rzucona pomiędzy gromadę dzieci, z odmienném zupełnie usposobieniem, pozbawiona naraz i pieszczot matki, i poważnej z ojcem rozmowy, do zabawy i pustot rówieśnic moich należałam z konieczności, a często ich wesołość pobudzała mnie do płaczu.

Rzecz dziwna, ilekroć zapytywano mnie o przyczynę łez moich, nie umiałam na to odpowiedzieć. Czułam tylko, że mi jakaś niewymowna rzewność opłynęła duszę, nacisnęła ją jak chmura majowa, i łzami ulżyła dziecięcej tęsknocie.

Przypominam sobie, że najczęściej dzień upłynął na obojętnie wykładanej nauce, której słuchałam jak niemieckiego kazania, bo mnie dotąd najwięcej sercem uczono pojmywać, i nie przykrojono rozumu do ramek szkolnego wykładu. I nie powiedziano mi, czy ta praca mozolna wyda jaki owoc pożyteczny dla świata, czy ta nauka, którą mi gwałtem w głowę kładziono pod karą złej kreski, ma się kiedyś z życiem mojem zespolic, czy ona uczyni mnie lepszą, świętszą, szczęśliwszą!?

Ponieważ mi tego nikt nie powiedział, wyrozumowałam sobie sama, że mnie oddano do szkoły dlatego, żeby tak zrobić jak wszyscy; że nauczyciele dlatego uczą, bo ich to bawi, a ja dlatego się uczyć muszę, bo mi kazano. Wyrobiwszy w sobie takie przekonanie, uczyłam się z konieczności, bo inaczej zrobić nie mogłam.

Po kilkoletniej nauce, dzięki professorowi, który jak kometta zjawiał się na miesiąc przed każdym egzaminem, a potem zniknął na czas nieograniczony, dowiedziałam się, że ziemia jest okrą-

gła i że Warszawa leży nad Wisłą. W czasie téj kilkutygodniowej gwałtownej nauki, tworzył się w mojej głowie okropny zamęt geograficzny bez początku i końca. I tak np. od miast stołecznych w Europie, przechodziłam nagle do najwyższych zagadnień astronomicznych, a ztamtąd do fizyki, geologii i t. d.

Pod względem historii i literatury jeszcze podobno było gorzej. Cały rok krążyłyśmy w królestwie Sardanapala i Nabuchodonozora, nie wiedząc nawet w jakiej części świata gnieździł się niegdyś Assyryjczycowie. Jednocześnie z Assyryjczykami wykładano nam dzieje państw zachodnich z czasów po-Chrystusowych, wspomniano coś o Rzymie, coś o cesarstwie byzantyjskiem, a na zakończenie dano słów kilka o wojnach Napoleońskich i o przedwstępnych do jego panowania wypadkach. Taką mieszaninę zdarzeń, wieków i nazwisk przewano nauką historii. Do niej przyczepiono w takimże samym porządku literaturę wszystkich narodów, poczynawszy od Pentateuku Mojżesza, a skończywszy na tragediach Woltera.

W arytmetyce stałam zawsze najniżej, tak, iż opuszczając szkołę nie umiałam jeszcze najprostszego działania piśmiennie rozwiązać. Liczby pozostały dla mnie nazawsze martwemi znakami, żadnej myśli niewyobrażającemi. Rachunkowość pojęłam później w życiu praktycznem, gdy potrzeba usunęła wstręt do obliczania rzeczy i wypadków.

Jedyną rozrywką moją było pismo. Uczucia i myśli dziecinne spisywałam po zeszytach naukowych, a potem marzyłam, płażałam nad niemi i odczytywałam je w cichości. Byłoto jakieś szczególniejsze przepełnienie ducha, jakaś niewypowiedziana siła uczucia, co mi się potokiem z piersi wydzierała! A gdzie miał popłynąć ten potok? z czém się zlać na całą wieczność?—Bóg wie! Jam wówczas nie wiedziała, i dzisiaj może jeszcze, gdyby mi przyszło wskazać cel najświętszych rozpamiętywań moich, nie znalazłabym go nigdzie. Był tam Bóg i wszyscy święci aniołowie Jego; duchy senne, nieujęte; ludzie, tłumy ludzi, których nie znałam; najwyższe ideały cnoty, wielkie natchnienia, które światem wstrząsają i porywają go z sobą w przestrzeń, dalej, dalej! To wszystko przedstawiało mi się w zachwycających obrazach, które czciłam łzami uwielbienia, bo inaczej uczcić nie mogłam!

A kiedy przeminał dla mnie czas szkolnej nauki, czas bezowocnej pracy rozumu (bo rozum zawsze u mnie podrzędne miał zajmować miejsce); kiedy mi przestali kłaść w głowę niezliczone

mnóstwo wyrazów, nagromadzonych w przerażającym bezładzie, uczułam się swobodniejszą. Bryła lodu spadła mi z mózgu, wszystkie władze duszy zbudziły się naraz do czynu, do działania na własny rachunek, o własnych siłach. Władza myślenia zaczęła się równoważyć z władzą uczucia, a zlewając się w jeden akord, w jeden ton zbiorowy, obie razem tworzyły harmonią życia; bez téj harmonii nie masz życia! nie masz człowieka!

Władze nasze jednostronnie rozwinięte, będą zawsze tylko władzami, zawsze czuciem, uczuciem lub myślą, materią, pojęciem lub miłością—ale niczém więcej. Aby się stały w nas prawdą, objawem życia, trzeba koniecznie ostatecznej syntezy tych boskich pierwiastków w duchu człowieczym; a czego potrzeba człowiekowi jako jednostce, tego tém bardziej potrzeba ludzkości, jako zbiorowi jednostek.

Jak nie ma życia bez myśli, tak go nie ma bez uczuć i bez pojawów zewnętrznych, które biją o zmysły. Wszystko razem składa świat i życie jego. To taka prawda, iż ktokolwiekby zerwał jedną z trzech strun owéj Bożéj lutni, tenby rozerwał całość przeznaczenia swego na ziemi.

Człowiekowi, który z woli Bożéj zesłany został na zwycięstwo przez cierpienia i walkę, dana jest broń troista i tarcz troista: aby nacierał i odpierał, obalał i dźwigał, burzył i budował; aby żył i umierał i zmartwychpowstał na wieki. A ten, któremu się tyle nędzy i tyle chwały dostało w udziale, żyć nie może jako zwierzę, jako anioł, jako cień myśli, ale ztroić się musi ową potrójną siłą, aby jako syn ziemi i nieba żył człowiekiem w pełni z ludzkością, a w zjednoczeniu z Bogiem.

\* \* \*

Chwała dobrego człowieka, jest świadectwo dobrego sumienia.  
*Św. Paweł do Koryntów.*

Mój dziadek było sobie oryginalny człowiek: wszyscy go poważali jako uczciwego człowieka, a jednak wszyscy się z nim spierali, wszyscy mu przeczyli, ilekroć potracono o jaką żywotną kwestyą, o jaką wielką prawdę, o jaką uświęconą opinią.

Ludzie, przyjaciele i stronnicy *większości*, nazywali go mizantropem, dziwakiem, odludkiem. Jak można było sprzeciwiać się ich zasadom, lekceważyć ich pojmowanie rzeczy dokonanych i niedokonanych? Jak można ganić to, co świat cały chwali, lub

*vice-versa*, chwalić to, co on potępia? Toż istne szaleństwo! Człowiek mądry powinien tak myśleć, tak czuć, tak postępować, jak wszyscy..... To praktyczny, spekulacyjny eklektyzm, przyjmować terazniejszość za wiekuiłą prawdę, żyć w niej ciałem i duszą, a o resztę nie pytać. Za pozwoleniem. A.... a co by z tego wynikło napotém? a co by było wynikiło z przeszłości nateraz, gdy by tylko eklektycy byli na świecie od potopu aż do naszych czasów? Niewątpliwie musiałby drugi potop martwą ziemię oblać, i musiałby znowu jakiś wybrany szaleńiec zbudować arkę, dla ocalenia rodu ludzkiego!....

Owóż mój dziadek był szaleńcem, jeżeli chcecie; fanatycznie przywiązany do swoich opinij, do swoich przekonań, wpadał w największe uniesienie, jeżeli ktoś przeczył jego pojęciom; lecz w ogóle rozpraw nienawidził, ludzi gadatliwych unikał, a książki swoje, gazety i fajkę kochał nadewszystko.

Cały świat był wówczas pod wpływem jakiegoś uroku i naoslep uwielbiał wielkie czyny wygnańca z św. Heleny: po całej ziemi kadzidła płonęły na cześć jego, w stosach ksiąg, niby historycznych wznosiły się ołtarze dla tego bożka; Francuzi zrobili go synem Jowisza i Latony, a inni wynaleźli imię jego w Apokalipsis! Wielki, wielki! wołano zewsząd. Być może.

Mój dziadek nienawidził bałwochwalstwa. Byłto chrześcjanin nieuznany, ale w sumieniu swoim przekonany, i sumienie starczyło mu za wszystko:—za opinią, za chwałę, za życie! Dla niego bożek nie był nawet człowiekiem; w jego zwycięztwach widział tylko łzy i krew, w pogodzeniu się z kościołem, obłudę, kierowaną osobistemi widokami; a jeżeli z wielkiej boleści wyszło wielkie dobro, to przypisywał jedynie zrządzeniom mądrej Opatrzności, która nawet czyny złych ludzi skierować potrafi na korzyść ogółu. Chwałą człowieka jest wola jego, poparta usiłowaniem, chociaż niezawsze uwieńczona skutkiem. Ludzie sądzą ludzi po czynach, Bóg po chęciach. On sprawiedliwszy od ludzi. Jeżeli niezmierną a świętą żądzę w człowieku ścisną okoliczności, tak, że ręki ku działaniu wyciągnąć nie może, czy dlatego mniejszą i świętszą jest wola jego? A jeżeli złe żądze ludzkie tak się połamią i pokruszą w ręku Boga, że z nich proch tylko, a z tego prochu, Bożym duchem owianego, wyjdzie świat nowy: czyż dlatego mniej zbrodniczą była wola człowieka?

Tak myślał mój dziadek. Na palcach znając historią, wszystkie wnioski opierał na faktach dokonanych. Przeszłość była mu



szkołą doświadczenia i we względzie osobistym, i we względzie powszechnym; a rozpatrując się w niej wszechstronnie, powiadał tym, którzy mu przeczyli: „Tak nie jest, ale tak być powinno, ale tak będzie! chociaż niezaraz, chociaż nieprędko. Kto chce być mądrym w terażniejszości, kto sobie przyszłość chce stworzyć, niech zgłębi wieki minione, rozpozna w nich złe i dobro, a potem niech sądzi i wyrokuje nie według opinii świata, lecz według sumienia. Ono mu będzie wyrocznią i prorokiem na drodze życia: rozświeci przed nim jasną pochodnię prawdy i zaprowadzi tam, dokąd wieki dążą. Służalcem opinii nigdy nie byłem, i do śmierci nim nie będę; a jeżeli niepodobna skojarzyć wyobrażeń naszych na drodze pokoju, na cóż się zdały spory? To, czego mnie nauczyła przeszłość, tego was przyszłość nauczy; i kiedyś, kiedyś! nastąpi zgoda pomiędzy nami; ale mnie już wtedy nie będzie!”

Mój dziadek miał słuszość: alboż tak się nie dzieje? Czy to co jest, nie urosło kosztem tego co było? Wszak to, co dziś zowie się fałszem, jutro może nazwie się prawdą; co dziś zbrodnią i hańbą, jutro może się nazywać cnotą i chwałą: bo wyobrażenia ludzkie z pracą wydobywają się na jasność słoneczną, z boleścią pozbywają się stariej pleśni, ale się dźwigają, pracują i utwierdzają powoli. Przypomnijmy sobie czém było chrześcijaństwo w opinii świata za Cezarów?—hańbą i zbrodnią; czém jest dzisiaj?—to wiemy. Doznawszy wielu przykrych zawodów w bezpośredniem zetknięciu się z ludźmi, mój dziadek, rzecz dziwna! nie cierpiał ludzi, a kochał ludzkość; nie wierzył ludziom, bo go oszukiwali, zradzali, nie pojmowali; ale kochał w nich ideał blizki urzeczywistnienia w doskonalszej przyszłości. Człowiek pospolity, nie potrafiłby może zrobić w sercu swoim rozgraniczenia pomiędzy człowiekiem a człowieczeństwem, pomiędzy szpetną rzeczywistością a pięknym ideałem, pomiędzy złem przechodniem a dobrem wiecznem; lecz jemu to łatwo było. Trudno by się było domyśleć po zimnem, prawie opryskliwem obejściu jego w potocznem życiu, ile w tém sercu płomiennych żądź wrzało, ile w téj głowie świętych myśli wzrosło, jak tam rozum był wiarą, a serce miłością! To też było zakolać do tego serca w potrzebie, w smutku, to się ono wnet otworzyło i świętymi błysło skarbami. Było odrazu i słowo współczucia, i uczynek braterski. Zawsze tam upor i dziwactwo ustępowały sercowym wzruszeniom; zawsze pamięć krzywd doznanych ustępowała miłości.



Pamiętam, że to co było w domu, w rodzinie najślabsze, najbiedniejsze, do tego on się przywiązywał najsilniej, brat pod swoją wyłączną opiekę, otaczał staraniem i zasłaniał od wszelkiego ucisku i przemocy. Ale i to jeszcze ludzie na karb dziwactwa liczyli, i w tém widzieli jakąś przekorę, potrzebę czynnego zaprzeczenia temu, co jest, dlatego tylko, że jest; dlatego, aby jednemu ze zdaniem swoim występować przeciw wszystkim. A wszakże kierowało nim zawsze uczucie najściślejszej sprawiedliwości, wolne od wszelkich osobistych i zewnętrznych wpływów. Bo jemu nie o to chodziło, aby z ludźmi, z otaczającym go światem zachował zgodę, lecz ażeby sam z sobą pozostał w zgodzie.

Byłoto bez wątpienia samolubne wyosobienie swego *ja*, wydzieranie się zpod jarzma panującej ogólnie opinii; lecz oraz śmiałe przyznanie się do swój indywidualności, nie lada jaka odwaga cywilna i samodzielnie wyrobione przekonanie, niechwiejące się za lada wiatru powiewem, jak to bywa u ludzi nie mających wiary w swoje pojęcia!

Poza rojem marzeń dziecięcych, widzę jeszcze starca jak w porze letniej przechadzał się pomiędzy grządkami swego ogrodu, z założonemi w tył rękoma, z głową na piersi spuszczoną; jak zasiadał pod cieniem starego klonu i w głębokim zamyśleniu spędzał ostatnie dnia godziny. A chociaż wokoło niego wesoło swawoliła dziatwa, i wrzawa odzywała się raz śmiechem, raz płaczem: to mu jednak wątku myśli jego nie przerwało. On promieniem ducha swego sięgał dalej, dalej! w nieskończoność, w przestwor miejsce i czasów.

I było dobrze temu duchowi poza obrębem małości i drobnostek obecnych; wszystko złe i dobre, wielkie i małe było mu celem, znakiem i Apokalipsą ujrzaną i zrozumianą w przyszłości.

Babka moja było sobie pocziwa kobieta, jakich wiele było naówczas, jakich wiele dotąd na świecie; czciła w mężu istotę wyższą, kochała dzieci, pieściła wnuki, pieski i kotki, krzątała się około domu, w życiu swoim nikomu nie zrobiła krzywdy; to też nazywano ją powszechnie *dobrą i miłą* osobą. Jestto najwyższa pochwała na jaką się świat dla kobiety zdobyć może, najwyższe pojęcie cnoty uosobione w niewieście.

Prócz książki do nabożeństwa i kalendarza w nadzwyczajnych okolicznościach, nic więcej nie czytała; i dziwić się temu trudno, bo wtedy jeszcze nawet romansów Walter-Scotta nie tłumaczono, a cała nasza beletrystyka stała prawie niżej zera. Zre-

szta, najpiękniejszy kwiat uczuć naszych, to co wówczas jedni nazywali poezją, a drudzy waryacją: to czytywała młodzież z ognistém sercem, nie zaś stare babunie w okularach; a gdyby się która przez ciekawość na taki wybryk zdobyła, przezwaliby ją sąsiedzi filozofką, heretyczką, Bóg wie nie czém!! I nie mamy im tego ani za zbrodnię, ani za potwarz; bo to co było, być musiało, i to co jest, być musi, a to co będzie, także jest z góry prawem konieczności zawarowane.

Bajki Krasickiego, psalmy, piosnki Książnina lub Karpińskiego, składały powszechnie bibliotekę ówczesnych literatek, grupujących się w przyszłości około *Pamiętki po dobrej matce*. Pisma treści czysto-naukowej, jako przechodzące pojęcia niewiasty, jako niepotrzebne, a może nawet szkodliwe, troskliwie przed nią usuwano; bo lękano się, aby kiedyś zasmakowawszy w rozkoszach umysłowych, nie zateęskniła do wznioślejszego dla siebie stanowiska w rodzinie ludzkiej; aby téj, która miała być tylko córką, żoną i matką, nie zacheiało się jeszcze być człowiekiem. Lękano się, aby ukochawszy najprzód siebie w rodzinie, nie ukochała następnie siebie i rodziny w ludzkości; aby to, co dotąd wokoło niej było próżnią, zaświatem, nie zamieniło się dla niej w pełnię życia, w świat obecny i przyszły....

Postęp przypuszczano tylko w rolnictwie, w mechanice, w rękodzielach, a nawet w odkryciach astronomicznych; ale postęp w duchu nieśmiertelnym, ale przeprowadzenie myśli doskonałej w żywot doskonaly i wzniesienie człowieka do wyższego, chrześcijańskiego pojęcia siebie w wszechświecie przez zrozumienie obowiązków łączących go z ogółem—to bynajmniej nie wchodziło w zakres usiłowań ludzi, mających siebie za największych myślicieli. A kiedy ich tak mało obchodził ogół, czémże zaiste mogła być dla nich wyosobniona z ogółu kobieta! Ludzie klasyczni!.... Oni widzieli w niej to tylko, co niegdyś widział wielki Heziodes:—głupstwo i próżność. A tego nie widzieli, co widział Chrystus:—poświęcenie i miłość!

.....  
Czemu tak jest, a nie inaczej?—To najtrudniejsza zagadka, nad której rozwikłaniem pracowali mędrcy wszystkich wieków; a szkoda, że nie pracowali nad czém inném, możeby się dotąd już sama ta zagadka rozwikłała. Zamiast przypuszczeń dowolnych, mielibyśmy pewniki; zamiast błąkań losowych, mielibyśmy zasadę niewzruszoną, opoczystą, którejby bramy piekła samego nie prze-mogły.

Mój Boże! kiedy téżto ludzie przyjdą, nie powiem do pewnej relleksyi nad sobą, bo tego mają aż nadto, ale do zrozumienia siebie jako istot celowo stworzonych, nietylko na *dzis*, ale i na *jutro*!... Gdybyśmy mieli rozleglejszy pogląd na fakta dopełnione w przeszłości, na pojedyncze wypadki magnetycznie ku sobie dążące, w jeden zlewające się strumień, który wiecznie, pomimo niezliczonych przeszkód ku swemu płynie celowi; gdybyśmy to wszystko po ludzku i po Bożemu zrozumieli: wiara nasza urosłaby w górę niebotyczną, sercem wstąpilibyśmy na jej wierchołek i tam rozbitoby namiot ku spoczynkowi, i rzeczybysmy mogli: „Dobrze nam tu!”

Szczęścia! szczęścia! wołają wszyscy: szczęścia dla siebie, szczęścia dla swoich! a znaleźć go nie umieją. Czy go nie ma w istocie? Czy próżną żądzę wlał Stwórca w piersi nasze? Czy zwodniczą byłaby nadzieja, co się rodzi z pierwszym zakwitem myśli, a kończy z ostatniem westchnieniem człowieka? I czy on jeden w szeregu stworzeń miałby pożądać wieczną tęsknotą najwyższego dobra, któreby wiecznie usuwało się przed nim? Każde jestestwo znajduje w naturze żywoły odpowiednie potrzebom swoim, świat obecny zaspokaja wszystkie potrzeby jego, i tylko człowiek, syn ziemi i nieba, miałby umierać wiecznem pożądaniem, a nie osiągnąć nigdy ukojenia swęj żądz?....

Pomyślenie takowe byłoby okropném bluźnierstwem. Utwierdzenie się w niém, byłoby śmiercią ludzkości, jęj potępieniem wiecznem! Bo warunkiem życia jest właśnie to szczęście do którego dążymy, którego się pracą wiekową dobija człowiek. A szczęściem najwyższém jest cnota podniesiona do ideału, do heroizmu, do bóstwa samego. Im bliżsi jesteśmy tego ideału, tém bliżsi Boga, tém szczęśliwsi. Im goręcej go pożądamy, tém jesteśmy lepsi. Bo i jakże sobie wyobrażamy to przyszłe niebo nasze?—ażali nie najwyższém ukojeniem ducha? ażali nie najwyższą archanielską miłością dusz czystych? A niebo serc naszych w życiu obecném może być inne? Oh! nie ten najuboższy, kto najwięcej utracił, i nie ten najnieszczęśliwszy, kto najwięcej ucierpiał;—ale ten, który nigdy nie kochał, i nigdy innęj boleści prócz własnej nie uczuł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

